MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 24 WARSZAWA, 5 CZERWCA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

WSCHÓD i ZACHÓD

POLSKA jest terenem geograficznym i historycznym, gdzie zbiegają się kręgi dwu dawnych cywilizacyj Zachodu i Wschodu — Rzymu i Bizancjum. Z tych dwu dawnych sfer, ciążących odśrodkowo, nastrojonych w ruchu twórczym na różne tempo i urabiających człowieka na różny typ psychiki, dzieje wytwarzają pomału jedną cywilizację polską, dociągając wschód do poziomu cywilizacyjnego tych ziem zachodnich, które dały początek państwu polskiemu. Jeżeli jesteśmy murem ochronnym Zachodu — to dlatego, że mamy mocny fundament w prowincjach zachodnich (Śląsk, Poznańskie, Pomorze) i dlatego, że szkarpy tego muru głęboko we Wschód zapuszczone.

Wielki to trud wewnętrzny i przewlekły dla cywilizacji uczynić z siebie jednolite, jednym tchem żyjące ciało, zjednoczone inspiracją jednej myśli politycznej, nadawanej ze stolicy, jednej myśli twórczej, wiążącej pełne chwały tradycje ze znojem dnia dzisiejszego i rzutem w przyszłość. Odpowiedzialność za tę pracę dziejową państwowo - twórczą i cywilizacyjną w najszerszem znaczeniu dźwiga na sobie Warszawa ze swojemi ośrodkami organizacji centralnej, Warszawa, szukająca ciągle równowagi między działającemi na nią wpływami ze Wschodu i Zachodu. Tutaj, w sercu Polski, ścierają się prądy owych dwu różnych układów psychicznych—zachodniego i wschodniego.

Polska nie może wybierać. Decyzja, czem mamy być, zapadła już dawno: albo oprzemy twórczość na pierwiastkach cywilizacji łacińskiej, albo zatracimy swój warsztat, swoje dzieło historyczne, które w środku Europy miało nosić wieczne imię: Polska i być murem między Zachodem i Wschodem.

Z tego stanowiska patrzeć trzeba na to, co się dzieje w Warszawie i na postawę ziem naszych Zachodnich, które ze zgrozą pełną bólu i żalu patrzą na ferment. Polska fermentuje. Musiało to nastąpić po zjednoczeniu, musiała nastąpić próba sił pierwiastków psychicznych Wschodu i Zachodu. Bizantyjski rokosz, biorący asumpt w kulcie jednostki, oparty na dziedzicznych nałogach anarchji i kłamstwa, musi się zetrzeć z rzeczowem hasłem cywilizacji łacińskiej: *salus reipublicae—suprema lex*.

To samo fermentowało już w innem ukształtowaniu w czasach wojny. Zaciąg wschodnich temperamentów i kombinacyj w służbę państw centralnych wytwarzał tę przeciwność, która się opierała zjednoczeniu, rozmaitemi posługując się hasłami. Dowolna pomysłowość kondotjerska na tle zasadniczej b i e r n o ś c i dziejowej przeciwstawiała się planowej myśli politycznej narodu, zdającej sobie sprawę z żelaznego obowiązku tworzenia mocarstwa na murach dawnej Rzplitej, Podczas tej kontrtwórczej roboty, będącej już w zarodku stałą rewolucją przeciwko Polsce tak pojętej, — przypomnijmy sobie — ludzie wschodni nie wyrazili nigdy i nigdzie troski o to, co będzie z Polską.

W pamiętniku St. Długosza (Józefa Tetery) legjonisty, który padł 1915 r., czytamy słowa goryczą zaprawne o ucztach galicyjskich na cześć legjonów w początku wojny. Wyjmowano szable na byle toast, ale

> „o jednym toaście zapominano, przy którym jedynie powinny obnażać się szable na znak wierności". „Mówiono o wszystkiem, ale nie o Polsce". „Czy to zmora terroryzmu nazwiska wypełzła znów i nęka nasze życie? — pyta Tetera. Jest że to posłuch wzorowy, czy oszołomienie bezmyślne? Bo co innego jest zaufanie pełne do człowieka, a co innego stawianie go na ołtarzu. Pierwsze cechuje godność, drugie -- niewolnictwo i małość ducha" (Ob. Michał Pawlikowski „Wczorajszy okop" Lwów 1921, str. 17).

O Polsce nie mówiło się tam nigdy, nie mówi się i teraz. Bo się o niej n i e m y ś l i. Praca cywilizatorska państwowości polskiej dlatego jest ciężka w nowożytnych warunkach, że tę myśl o Polsce trzeba wdrożyć w psychikę ludzi wschodnich, którzy naturalną pierwotność połączyli bezpośrednio z żydowską nauką socjalistyczną o sprzeciwianiu się wogóle organizacji narodowej, jako wrogiej dla szczęścia jednostki. Wschód podniesiony przez marxizm do kwadratu. A jeśli dodać, że wszystko wprzęgnięto do rydwanu interesów nie-

mieckich, otrzymamy siłę wrogą cywilizacji polskiej — w trzeciej potędze.

I oto zrozumiemy, co się pali w oczach Poznańskiego, patrzących na orgje warszawskie, w oczach ludzi, którzy po wschodniemu nie kłamią, którzy z dobrobytu pod zaborcą wyłamali się, żeby tworzyć własne państwo, bo tak kazał im dziedziczny duch starej polskiej cywilizacji, przez Niemców niszczonej. O tej dzielnicy w czasie wojny, o tym typie Polaka, pisze Dmowski w swojem dziele pomnikowem „Polityka polska i odbudowanie państwa" (1925, str. 221).

„Poznańskie—to nie była pierwsza lepsza bierna prowincja kresowa, którą można tak lub inaczej rozporządzać, zależnie od widoków politycznych. To była zdrowa, mocna część żywej Polski, najbardziej świadomy w swej masie odłam narodu, mający najmocniej rozwiniętą wolę zbiorową i najzdolniejszy do wcielania zamierzeń w czyny. Ten odłam narodu nie pozwalał, żeby inni decydowali, czy chcą go widzieć w Polsce—on sam o swej przyszłości postanawiał i sam ją tworzył. On nietylko chciał być w Państwie Polskiem, ale miał coś w tem państwie do powiedzenia. I dlatego, że miał coś powiedzieć, niechętnie był widziany przez zwyrodniały gatunek Polaków. W dążeniu naszem do wyrwania tej ziemi z rąk niemieckich myśmy byli nietylko przedstawicielami szerokiej myśli polskiej, jedynej, jaka miała prawo polską się nazwać, ale i wykonawcami mocnej woli żywego na tej ziemi narodu polskiego."

Na czele ruchu „lewicowego" stoją ludzie wschodu (nawet loże tak się nazywają). Wszystko, co oni nazywają „prawicą", musiało znaleźć normalny wyraz w układzie psychicznym ziem zachodnich i w chwili krytycznej, jak dzisiejsza, zaznaczyć się nawet geograficznie — w zawołaniu: Poznań.

Polityka lewicy nie może wylegitymować się programem objektywnym, wynikającym ze zrozumienia interesów historycznej cywilizacji polskiej. Predyspozycje jej leżą w podłożu psychicznem naturalnem, które jest pochyłe ku wschodowi. „Lewicę" pociąga wschód i przez to samo musi służyć interesom tych sił w Europie, które dążą do odsunięcia Polski od zachodu. Ludzie wschodni są naturalnymi sprzymierzeńcami Niemiec, jako tych, które Polskę na wschód pragną zepchnąć, odcinajac ją od podstaw historycznych. Dlatego mieliśmy w czasie wojny tak trudną djalektykę obozów, w której niepodobna było trafić do pro-germańskich niepodległościowców argumentami polskiego interesu historycznego. Tam wogóle zdolność operowania rozumowego kategorjami interesu polskiego była zagłuszona niezorganizowaną (z pozorami romantyczności) uczuciowością, wyrażającą się przedewszystkiem w niechęci do ziem polskich przez Prusy zabranych, w nienawiści do tych, którzy sprawę tych ziem w programie „zjednoczenia" wysuwali. Wyrażała się ta tendencja pozytywnie w planach tworzenia nowych ciał politycznych Białejrusi i Ukrainy, które ewentualnie byłyby z Polską sfederowane.

Człowiek wschodni w Polsce stać się musiał pionkiem w grze *Drang nach Osten*, w grze, która nie waha się dla ułatwienia pochodu burzyć ustroje wschodnie katastrofami socjalnemi. Tutaj znajduje zastosowanie wychowany w Niemczech socjalizm. Ten, jako sprzymierzeniec „lewicy" polskiej, musi się stać czynnikiem w jej polityce rostrzygającym, jak w Rosji. Z polityki odruchu, gdy racja stanu nie przyświeca — dojść można tylko do katastrofy.

W piękne dni majowe 1926 r. ulice Warszawy skrwawiły się w zdarzeniu, napozór przez jednostkę wywołanem, ale historyczne jego znaczenie jest głębsze. A dla państwa tem tragiczniejsze, że narzędzie użyte w tym konflikcie zostało popsute i może okazać się nieprzydatnem do realizowania jakiejkolwiek polityki nazewnątrz, a nawet do zabezpieczenia się od anarchji wewnętrznej.

Nie orjentują się w wypadkach obecnych ci, którzy je rozważają ze stanowiska personalnego, czy partyjnego. Mamy do czynienia z kryzysem psychiki narodowej, szarpanej wpływami zeznętrznemi, a jak się pokazuje, nie zorganizowanej jeszcze należycie. Elementarne zagadnienie bytu odsłania się w świetle tych wypadków. Przebywamy próbę trwałości państwa, moment groźny naszej przyszłości politycznej. To, co się dzieje, jest zadawaniem kłamu wszystkim tym argumentom, które wysuwaliśmy na Kongresie Wersalskim, aby dowieść, że Polska jest Europie potrzebna i że ma warunki wewnętrzne spełnienia swych zadań. Główny nacisk kładliśmy na naszą zachodniość, na swoje tradycje wielkomocarstwowe.

Duch Wschodu, gardzący ambicjami narodu, może rachuby nasze i Europy przekreślić i uczynić z nas nieobliczalny teren geograficzny, gdzie chaos i przypadek działając na siebie, obrócą w ruinę i dorobek Polski i jej nadzieje.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PROCES CAŁKOWANIA ETNICZNEGO POLSKI

II

CÓŻ znaczy, w przekładzie na język zwykły, ów odwiecznie i nieprzerwanie odczuwany przez część słowiańską dawnego W. Księstwa Litewskiego związek z Polską i udział jej w tworzeniu polskiej kultury narodowej w drodze normalnej emanacji miejscowych wartości ludowych? Czy stosunek taki znamionuje jakikolwiek inny wypadek współżycia dwu sąsiadujących plemion? Nigdzie nic podobnego nie widzimy. Innemi słowy, stosunku żywiołu polskiego Korony i słowiańskiej ludności Litwy niepodobna określić inaczej, jak ich wspólnością narodową. Ośmieliłbym się postawić hypotezę, że ta słowiańska ludność Litwy historycznej jest częścią plemienia polskiego. Hypoteza ta bowiem odrazu wyjaśnia nam normalnie i pospolicie szeregi faktów, bez niej musielibyśmy fakty wyjaśniać cudami. Że Polacy mogli wziąć górę nad Litwinami za pierwocin Wielkiego Księstwa, jest to zrozumiałe, ale żeby ten wiecznie bierny żywioł białoruski osiągnął wyższość, byłoby dziwne. Że lud polski przez wiek XIX odsunął granicę etnograficzną Litwy ku Zachodowi, nic w tem osobliwego niema. Ale lud

białoruski, oddzielając go w osobną całość plemienną i abstrahując od związku organicznego z polskością, przecież w tym czasie był mniej kulturalny od plemienia litewskiego i raczejby na pograniczach ulegał lituanizacji, niż zwyciężał, zwłaszcza że nie chodziło tu o przesunięcia ludności emigracyjne, lecz tylko o wpływ kulturalny. Wprawdzie hypoteza ta zmusza do wyrzeczenia się legendy o nadzwyczajnym charakterze dziejów Polski, która rzekomo już w średniowieczu umiała rozstrzygać zagadnienia sąsiedzkie tak, jak jeszcze dziś śni się zaledwie narodom. Ale przecież nie jedną słodką bajkę zmusił nas lancet analizy porzucić.

Ze stanowiska hypotezy tej unja nie była niczem innem, jak wydarzeniem kolejnem w procesie jednoczenia się dzielnic Polski, a organizacja poprzednia Litwy analogiczną w zasadzie z osobną a długotrwałą odrębnością Pomorza oraz Mazowsza. Państwo Polskie wytworzone zostało przez Wielkopolskę i Małopolskę, a następnie stało się ośrodkiem ciążenia dla innych dzielnic narodowych, te zaś jedna po drugiej w krótkich odstępach czasu złączyły się z niem w całość, na którą złożyły się cztery dotychczasowe ogniska organizacyjne państwa: Królestwo Polskie Kazimierza Wielkiego, Mazowsze, Litwa i wreszcie Pomorze, a każda z formacyj tych przedtem szła odmienną drogą dziejową, ulegała innym wpływom sąsiedzkim i zachowała dotychczas odrębność obyczajową oraz gwarową w łonie narodowości polskiej. Przecież na tej różności rozwoju historycznego i obyczaju opierają Niemcy dotychczas teorję osobnej narodowości nawet najmniej odrębnego Mazowsza pruskiego. Tembardziej prawią o języku kaszubskim. Równie fałszywe i sztuczne wydają się więc założenia odrębności białoruskiej. I tem się właśnie tłumaczy, że na jej podłożu narówni i jednocześnie z Mazowszem, Pomorzem, Wielkopolską wykwitała ta sama wspólna kultura polska.

Oczywiście różnice lokalne są tu znaczniejsze w porównaniu z przedziałami pozostałych grup polskich, — i wyobrażenie o naszej wyjątkowej jednolitości należy również pożegnać. Istotnie, przed podziałem na dzielnice, Białoruś nie była ogarnięta pierwotną organizacją polską. Ale przecież, zgodnie z drogami cywilizacji, ognisko najstarsze swojego powstania narodowego mieliśmy na naszej granicy zachodniej. Już Mazowsze stawiało mu opór. A dalej istniał wówczas do dziś zresztą niejasny klin Jaćwieży. Różnica językowa jest tu znaczniejsza, niż pomiędzy mową kaszubską, a narzeczem Mazowsza, ale któż te rzeczy przeważnie badał i z jakiego stanowiska politycznego? Przecież odnośne zainteresowania powstały już po rozbiorach, gdy nauka nasza była upośledzona i częstokroć ideologicznie zależna. Dzieło podstawowe o Białorusinach, które dotychczas jest uważane za autorytatywne, wyszło wprawdzie w Warszawie, ale z pod pióra zrusyfikowanego rusyfikatora Polski. Nasze mapy językowe do ostatnich czasów zatrzymywały się na Białymstoku. Dopiero zbyt wyraźnie w oczy bijąca polskość Wileńszczyzny zaczyna zastanawiać naszych filologów, i ci — dopiero teraz — odkrywają, że oto bliżej niezbadany obszar zajmuje tam pomijane dotychczas uwagą narzecze języka polskiego. Ale kto powiedział „A", niech powie i „B". Jeżeli lud w Wileńszczyznie mówi narzeczem polskiem, to narzeczem polskiem mówi i Nowogródczyzna, i Mińszczyzna, i znaczna część Polesia.

Należy pamiętać zresztą, że wiele tamtejszych właściwości językowych stanowi z pewnością naleciałość. Gdy bowiem organizacja kościelna, państwowa i narodowa zaczynała się w Polsce od zachodu i powoli rozpowszechniała się na wschód, cóż dziwnego, że do jej wschodnich części, również dorastających do tej organizacji, zdążyły wcześniej przyjść wzory z innego ogniska cywilizacyjnego, za pośrednictwem Rusi? Właśnie fakt, że pomimo to Białoruś z Rusią zlać się w jedność narodową nie zdołała, najlepszym jest dowodem jej poprzedniej odrębności. Ale jak do nas od zachodu szły z organizacją kościelną liczne wpływy językowe łacińskie, niemieckie, czeskie, dotychczas stanowiące o szczególnej bliskości języków polskiego i czeskiego i o wielu naszych formach językowych, zwłasza na Śląsku, tak na wschód białoruski szły wpływy językowe ruszczyzny i cerkiewszczyzny. Nie przeszkodziły przecież, iż uważana za najbardziej charakterystyczną cecha narzecza białoruskiego (dz, dź, ć) jest właśnie wspólna z mową polską. Że zaś cerkiewszczyzna nie była tu właściwą organizacją narodową, świadczy fakt, że kościół rzymski zdobył tu bardzo znaczną liczbę wyznawców, a unja—poza skrawkami Polesia—ogarnęła całą dzielnicę, napotykając natomiast przeciwdziałanie na Rusi. To znaczy, że wpływ ruski nie przeszkodził tu ludowi odczuwać nie dającej się zbadać łączności dawniejszej z Polską pozostałą, o której świadczy i wspólne ich podłoże antropologiczne *). Słowiańszczyzna przyszła tu zapewne z zachodu, gdy do ościennej Rosji z południa.

Hypoteza, ktorą wypowiadam, powinnaby oczywiście być stwierdzona przy pomocy całego aparatu naukowego. Wszakże i wypowiedzenie jej w formie publicystycznej może mieć znaczenie, chociażby jako skierowanie uwagi uczonych na dany temat. Gdyby ją uzasadnili i stwierdzili jej zgodność z rzeczywistością, płynęłyby stąd pewne wnioski praktyczne, szczególnie ze stanowiska publicystycznego interesujące. Przecież niema dziś większych propagatorów odrębności białoruskiej, jak my sami. Białorusini, traktujący się jako narodowość odrębna, w tej propagandzie prawie nie biorą udziału z powodu znikomej swej liczby i braku wpływów w ludzie. Na wyborach sejmowych w bloku z Żydami przeprowadzili mniej stamtąd posłów białoruskich, niż stronnictwa polskie, jak np. ludowcy, PPS. i t. d. Ale my ich zastępujemy w pracy. Uznajemy lud białoruski za mniejszosć narodową, proklamujemy narodowość białoruską w spisie ludności, uchwalamy dla niej ustawy językowe i w każdym podręczniku szkolnym, według którego lud tameczny w szkołach powszechnych uczy się geografji lub wiedzy o Polsce współczesnej, wbijamy mu w głowę pojęcie narodu białoruskiego.

A przecież on nawet tej nazwy zwykle nie używa. Wie, że jest w Polsce, że jest ludem, że tutejszym. Termin Białejrusi, odzwierciadlający okres wpływu kijowskiego, zjawia się w dziejach bardzo późno i zupełnie sztucznie; obok równie sztucznej Czarnej Rusi i Polesia, jako nazwa terytorjalna dla województw, których Rzeczpospolita obecnie nie ogarnęła (Połockie, Mińskie, Witebskie, Mścisławskie). Nazwą pospolitą tej całej ludności było tu do ostatnich czasów: Litwini, nie w znaczeniu językowem zresztą ani narodowościowem, bo ci Litwini narodowo byli Polakami i odróżniali się w terytorjalnym podziale Rzeczypospolitej nie od Polaków, ale od „Koroniarzy". Zresztą na wewnętrzny użytek Koroniarzy nazywano i Polakami, odróżniając od Litwinów, jako drugiej części narodu polskiego. Gdy więc ruch seperatystyczny Litwy etnograficznej zniechęcił owych „Litwinów" w znaczeniu szerszem do swej dotychczasowej nazwy prowincjonalnej, zabrakło nazwy innej. Za Polaków zaczęto uznawać tylko

---

*) Jakkolwiek do pierwiastka tego w określeniu narodowości nauka dziś przywiązuje mniejszą wagę, godne jest podkreślenia, że Polska łącznie z Białorusią stanowią szczególne wyspowe rozszerzenie przewagi typu rasowego środkowo-europejskiego, zaledwie wązkiemi szlakami wychodzącego poza nią ku zachodowi i wschodowi.

warstwę, która była jezykowo najbardziej do Korony zbliżona, mówiąca językiem litewskim. Dla ludu odrestaurowano nazwę Białorusinów. Że to było niesłuszne, lud sam stwierdził wkrótce. Do roku 1905 nikt nie nazywał ludu Wileńszczyzny polskim, i powtarzaliśmy za urzędową statystyką, że Polaków tam jest kilka procent ludności. Dopiero rozluźnienie ucisku i na tem tle zrodzony ruch ludowy odsłoniły prawdziwą wolę narodową owego ludu. Ale wyraźnie polskim nazwał się on tylko w Wileńszczyźnie, podrażniony tu przez zaborczość litewską. Dalej pozostał bez ogólnej nazwy, jako jużto tutejszy, jużto białoruski, jużto kresowy.

Od lat dziesięciu inspiruje się zewsząd białoruski ruch narodowy: i z Litwy, i z Niemiec, i z Rosji, i z Ukrainy. I od nas: bo skoro podłoże tutejsze jest plemiennie odrębne, to musi przez analogję z innemi plemionami wytworzyć nowy naród: takie już są czasy. I pomimo to ruch białoruski nijak powstać nie może, wciąż należąc do dziedziny cieplarnianej hodowli. A ileż to nowych narodów i państw powstało przez te dziesięć lat! Ale zapewne niedaleki jest czas, gdy ta hodowla wywoła w ludzie samorzutną reakcję. Wówczas się przekonamy, że lud ten jest poprostu polski. Wiele odkryć podobnych o właściwych granicach narodów uczyniono na tle poruszenia się kulturalnego szerokich mas ludności w czasach ostatnich wszędzie w Europie: np. połączenie się Chorwatów z Serbami, ruch polski na Śląsku i t. p. Analogiczne odkrycie nasuwają nam kresy północne od Wileńszczyzny poczynając.

Chodzi więc o podniesienie ludu kresowego z narzuconego mu stanowiska „mniejszości narodowej“ do godności części narodu państwowego. W stosunkach z Litwą kowieńską już przejęliśmy na Rzeczpospolitą zadania polityczne jednej dzielnicy. Ale ten punkt widzenia nakłada na społeczeństwo i obowiazki dalsze. Nie tylko obowiązek uświadomienia ludowi jego polskości, nietylko pielęgnowanie jego odrębności miejscowych, podobnie jak to czynimy wobec Podhala lub Kurpiów, oczywiście równocześnie z oczyszczeniem ich od naleciałości obcych. Ale wymaga i większej troski o jego potrzeby duchowe. Niewątpliwie kler katolicki ma tu bardzo wielkie zadania, od których dotąd naogół stroni. Wszakże i kościołem autokefalnym powinniśmy się więcej zainteresować. Dotąd go traktujemy jako instytucję wyłącznie państwową, bo przecież narodowo nas nie interesował. Nie służąc więc ani Polakom, ani Rosjanom (bo prawie ich nie mamy), czy nie staje się on pod tą przykrywką państwową organizacją ukrainizmu i nawet jego ekspansji: na Polesie głównie, a częściowo i na kresy północne?

Stulecie rozbiorów nie jednej dokonało rysy w całokształcie narodowym polskim. Niektóre z nich zaczęły się nam wydawać nawet koniecznem znamieniem postępu, gdy w istocie były wynikiem przedewszystkiem destrukcji. Więc i ruch ukraiński, a poniekąd i białoruski, chciano traktować niekiedy analogicznie do naszego albo włoskiego. W istocie zaś oznaczały one, że wprawdzie potęgi zaborcze nie zdołały odłamów kresowych organizacji naszej całkowicie do swojej wcielić, ale potrafiły jednakże spójnię poprzednią nadwyrężyć.

Dziś wracamy do zadań, jakich dokonywaliśmy przed wiekami. Trzeba nanowo całokształt narodowy zespolić. A w tem zjednoczenie się narodowe kresów z macierzą jest celem pierwszym. Miejmy nadzieję, że w swej masie ludność ich wytworzyć zdoła w sobie ambicję organizowania wespół z nami wielkiej kultury historycznej. Miejmy nadzieję, że zarysowane mury zrosną się znów, jeśli zadaniu temu nie poszczędzimy pracy.

WŁODZIMIERZ WAKAR

U WRÓT „WYZWOLENIA“

I

STANOWISKO, jakie zajął Wyspiański *) wobec narodu „Weselem“, było typowem stanowiskiem romantyka. Jak romantyk czuł on własne osamotnienie, jak romantyk przeciwstawił się ogółowi, rysując go w tych barwach, jakie podała mu wyobraźnia i serce. Jak romantyk pragnął przetworzyć ludzi przez dzieło sztuki, poezję, czując niewystarczalność życia obecnego. A walcząc w ten sposób ze społeczeństwem, pragnąc uwolnić je z rubasznego czerepu nastrojowości, który stworzyła, zdaniem jego, przewaga wyobraźni w ludziach, zbytnia, szkodliwa dla życia wrażliwość, patrzył na nie przez pryzmat swej wrażliwej duszy, w której przeważało uczucie i wyobraźnia. Walczył więc w ten sposób z sobą samym przedewszystkiem. Gdy walka ta w „Weselu“ jest transponowana poza „ja“ poety, w „Wyzwoleniu“ będzie przedstawiona wprost, bezpośrednio. Genjusz i Konrad są tam symbolami dwóch stron psychiki Wyspiańskiego. Ale między „Weselem“ a „Wyzwoleniem“ istnieją dwa momenty, które wskazują w jaki sposób rozwijała się i pogłębiała myśl jego. Momentami temi: przystosowanie sceniczne „Dziadów“ Mickiewicza oraz narodzenie się koncepcji męża, przyszłego Konrada.

„Gdy postanowiłem wprowadzić „Dziady“ na scenę Krakowską, oddałem w ręce poety trudną pracę“... — pisze Kotarbiński [1]). Otóż zadziwić tutaj musi, że Wyspiański, który przecie walczy z romantyzmem, z poezją mieszczącą w sobie zarodki rozkładowe, szkodliwe dla życia (— jakże dobitnie określił niechęć swą do tej poezji w „Weselu“ słowami Stańczyka: „Myślisz, że się trupy odświeżą strojem i nową odzieżą, a ty z trupami pod rękę będziesz szedł na Ucztę-mękę i jako potrawy żuł, czem się tylko kiejś kto truł“, gdzie zarówno określenie „uczta-męka“—pierwsze słowo niby echo „Biesiady“ Towiańskiego, drugie apoteozowania męczeństw Polski—jak i bezpośrednie sąsiedztwo „Wesela“ z „Legionem“, gdzie Mickiewicz truje się mistycyzmem i nic nie może zdziałać dla życia, świadczą, że Wyspiański myśli o mesjanizmie —) zdecydował się opracować dla sceny dzieło, będące esencją romantyzmu polskiego. Właśnie to sceniczne opracowanie „Dziadów“ świadczy, że Wyspiański zajmuje owe stanowisko wobec poezji romantycznej.

„Ale rzecz dziwna (musiał pomyśleć), jak ci widzowie lekceważą Tradycję Sztuki i Piękna i wspaniałość zjawisk — te właśnie rzeczy, z któremi się liczył i uszanować je jednak umiał“ [2]). Co tutaj Wyspiański mówi o Szekspirze, mówi na podstawia autoobserwacji, interpretując powstawanie „Hamleta“, ujmując myśli w nim zawarte — na podstawie własnej twórczości; cała przecież rozprawa jest kluczem do pojęcia dramatu przez poetę [3]). Więc odnosił się do „Dziadów“ przedewszyst-

*) Wyjątek z pracy p. t. „Stanisław Wyspiański a romantyzm polski“, które niebawem wyjdzie z pod prasy.

[1]) „Pogrobowice romantyzmu“, str. 133. Warszawa 1909.

[2]) „Hamlet“ str. 66.

[3]) Por. Dr. Ždenka Markovic „Pojęcie dramatu u Wyspiańskiego“ tłum. Stanisław Kolbuszewski. Poznań, 1924.

kiem jako do dzieła sztuki i ze stanowiska artystycznego je traktując „przyczynił się do powodzenia „Dziadów“ i nowego triumfu wielkiej poezji na scenie“ [4]). Chciał uszanować tradycję piękna i z nią głównie się liczył. Ale przystosowując „Dziady“ dla sceny, miał sposobność wniknąć głębiej w ich istotę. Od czasów „Daniela“, będącego hołdem dla mesjanizmu, raczej od powrotu z Paryża [5]), Wyspiański odnosił się do poezji romantycznej z niechęcią, jako do poezji smutku, poezji apoteozującej ofiarę i mistykę. Jego Mickiewicz z „Legjonu“ — to święty, który wiedzie naród na bezdroża. Teraz dostrzega nowe oblicze wieszcza, dostrzega w nim prometeizm. Konrad jest przecie najszczytniejszym wyrazem bohaterstwa, opierającego się jedynie o duszę człowieczą, nieuznającego nad sobą żadnej przewagi ni „szczytów“. O własnej mocy dojdzie tam, gdzie graniczą Stwórca i natura i sam stoczy walkę z Bogiem dla szczęścia narodu. Tak wnikając w „Dziady“ ocenił Mickiewicza jako człowieka, bohatera walczącego o Polskę żywą na ziemi. Odtąd Mickiewicz rozdwoi się w pojęciu Wyspiańskiego: będzie Konradem, z którym Wyspiański „solidaryzuje się“ i mistykiem, którego Wyspiański uzna za „Harpję narodu“, I być może, że od tej chwili jął rozmyślać poeta nad tem, jakby działał Konrad-Mickiewicz w teraźniejszości [6]). A tak poczynał go rozumieć i szanować „nie już dla samego piękna i tradycji ale dla uczucia własnego“ [7]).

Obok prometeizmu widział Wyspiański w Konradzie Mickiewiczowskim żądzę zemsty na wrogu. A myśl, że zemsta jest jednym z podstawowych postulatów uzyskania przez Polskę niepodległości wyraził sam kilkakrotnie. „Wyraził ją w „Kazimierzu Wielkim“, każąc zginąć od uderzenia młotu Mówcy, symbolowi niewoli ciążącej nad psychiką polską, wyraził w rapsodzie o św. Stanisławie, gdy rycerze Bolesławowi „pomścili wszystkich krzywd w spalenisk krwawej pożodze..., by siłą kraj swobodzili“ — a nadewszystko w rapsodzie o r. 1846, gdy „credo“ zemsty ujął w słowa:

„Chcę rzezi, żeby wszystko krwią spłynęło,
Żeby się podłość Polski w niej obmyła,
By się zbliżyło k'nam spragnione dzieło,
na którem przyszłość narodu spoczęła;
by krwią i ogniem pożarów objęło,
wszystko, co pamięć w przeszłości przeklęła“ [8]).

Z tą ideą zemsty-oswobodzicielki przyjdzie też na scenę Krakowskiego teatru nowy Konrad; ale rodowód jego sięgnie jeszcze bardziej wstecz. Sam przecie przemówiłem słowy, których użył Pustelnik w IV cz. „Dziadów“, przyszedłszy do domu Księdza: „idę zdaleka, niewiem, z raju czyli z piekła“. Nadewszystko jednak zaważy na ukształceniu jego psychiki potęga i miłość Konrada z „Improwizacji“.

Tak pod wpływem „Dziadów“ rodził się w Wyspiańskim pomysł bohatera, który będzie sprawcą wyzwolenia narodu. Pomysł ten był z gruntu romantyczny u poety, co podjął walkę z romantyzmem: wielka, wybitna jednostka własnym trudem spełni czyn za naród. Ale zanim skonkretyzował się on w Konradzie z „Wyzwolenia“ — wzrastał i nabierał sił w koncepcji nowej Męża.

W r. 1902 stworzył Wyspiański fragment zatytułowany „Mąż“ i tutaj po raz pierwszy sformułował wyraźnie swe poglądy socjalne [9]).

Wyspiański występował przeciw romantyzmowi i z tego powodu, że tem budował przyszłość Polski „gdzieś na wieków późnej fali“ — jako wizję, że nie ujmował zagadnień narodowych realnie i tym sposobem odrywał przyszłość od życia, od rzeczywistości. Tymczasem sam poeta dotychczas dwiema wizjami („Kazimierz Wielki“ i „Św. Stanisław“) rzutował przyszłość Polski. Otóż w chwili obecnej zbudziła się w nim tak silna reakcja przeciw ujmowaniu zagadnień narodowych i społecznych uczuciowo, jakiej ani dotychczas ani w przyszłości dostrzec w nim nie można. Rok 1902 jest pod tym względem znamienny i bardzo charakterystyczny dla psychiki Wyspiańskiego. Z jednej strony silnie rozwinięty krytycyzm intelektualny, z drugiej wyzwalająca się z pod jego przewagi uczuciowość. Ten rok—to rok walki rozumu z uczuciem, zakończony wbrew intencjom poety — triumfem uczucia. A ta dążność do ujęcia spraw narodowych ściśle, sformułowania ich rozumowo, znaczy się również w formie utworów, w przewadze rozważań, w przeciążeniu jakgdyby dramatów refleksją, oraz usunięciu wiersza a posługiwaniu się prozą.

W fragmencie „Mąż“ widoczne jest niejednokrotne, świadome przeciwstawienie się ideologji Mickiewiczowskiej. A przecież punkt wyjścia w rozważaniach Wyspiańskiego jest identyczny z żądaniem Mickiewicza, by powiększeniem i polepszeniem duszy budować Rzeczpospolitą. Powiada bowiem Przyjaciel a Mąż mu słuszność przyznaje, że „w nas samych jest taka wielka siła odrodzenia dla dusz rozwoju“, przed którą wszystko ustąpić i polec musi—a nią: uczucie. Na sile tego uczucia Mąż pragnie budować wysoko. Dopiero kształtowanie, budowa — musi być poddana kierunkowi refleksji. Wyraża to Mąż słowy: „Przedewszystkiem w przyszłość i otoczenie nasze musimy patrzeć serjo, poważnie“. Zdać też pragnie sobie sprawę z tego, czem jest jego otoczenie i postrzega, że istnieją trzy kategorje ludzi, które tworzą społeczeństwo: 1) ludzie, posiadający kapitał inteligencji i talentu, 2) ludzie nieposiadający go, 3) t. zw. „inteligencja średnia“, to jest ludzie, którzy różnią się między sobą mniejszym lub większym zasobem inteligencji, tworzą jakby szczeble od warstwy trzeciej ku pierwszej, są „drabiną Jakóba, po której myśl ludzka ku niezawisłości się wzbija“.

W ten sposób dla ukształtowania bytu społecznego i narodowego niezbędne są dwie grupy czynników: 1) siła i moc uczucia, 2) inteligencja, wykształcenie i rozwój talentu. Co rozumie poeta przez siłę i moc uczucia wyjaśnia rozmowa z maskami z „Wyzwolenia“. Jest to zabicie w sobie „bez wysiłku i trucizn użycia“ małości, „jadu i zgnilizny“, a rozwój wartości moralnych, stworzenie w sobie Apollina-Chrystusa [10]) — czyli zyskanie wyzwolenia moralnego. Wewnętrzna moc duchowa, jest dla Wyspiańskiego tak, jak dla wielkich romantyków zasadą, na której można dopiero wznosić dalszą budowę. Sformułował on myśl tę w czterowierszu z tych czasów:

Przy wielkim czynie i przy wielkiem dziele
Podłość paść musi, jak szkodliwe ziele,
Które z korzeniem z grudy się wyrywa.
Niech własnem mianem każdy się nazywa.

---

[4]) Kotarbiński „Pogrobowiec romantyzmu“ str. 137.

[5]) Por. St. Kolbuszewski „Paryski utwór Wyspiańskiego“ w Jednodniówce Koła Polonistów Uniw. Poznańskiego. Poznań 1925.

[6]) Nad tem samem, t. j. nad tem jakby Mickiewicz działał obecnie zastanawia się również St. Brzozowski w „Legendzie młodej Polski“ wyd. I r. 1910 str. 210—212.

[7]) „Hamlet“ str. 67.

[8]) O znaczeniu zemsty w ideologji Wyspiańskiego pisałem w rozprawce „Wizja Wyspiańskiego“ str. 10 i 11.

[9]) Prof. Sinko w I wyd. „Antyku Wyspiańskiego“ str. 141, uważa „Męża“ za komedję polityczną. Zmienia jednak zupełnie słusznie zdanie we wstępie do zbiorowego wydania dzieł poety (tom I str. 55), widząc, że Mąż zlewa się z Konradem.

[10]) Por. rozmowa z maską 16.

Ale, gdy romantyzm tę dalszą budowę wznosił według wytycznych natchnionej wyobraźni, gdy wyobraźnię nazwał wypatrzycielką form przyszłych — Wyspiański byt i dolę narodu i jego przyszłość uzależnia od poziomu inteligencji i wykształcenia. Są one niezbędne, by „serjo" patrzeć w przyszłość. Nadewszystko jednak decydujacym czynnikiem jest rozwój talentu. „Talent, skoro raz jest, jest on przyrodzonym i wrodzonym—wymaga i winien być rozwijany. Zaniedbanie i przeoczenie talentu jakiegokolwiek jest krzywdą, którą robimy samym sobie". Można w słowach tych dopatrzeć się grotu pośrednio skierowanego przeciw towianizmowi, który nakazywał dla ofiary wyrzekania się talentów. Można uważać je jako wyraz niechęci ku doktrynom tego człowieka, co wywarł wpływ decydujący na życie Mickiewicza, kazał wyrzec się mu poezji — a sam uznany był przez monografa, którego dzieło o Słowackim znał z pewnością poeta, za „nieuka".[10]) Przedewszystkiem jednak widna się staje w tem ujęciu głęboka troska o poziom intelektualny narodu i jego bogactwa kulturalne. Uznawali wszyscy nasi romantycy ważność oświaty dla podniesienia się narodu; wychowani byli przecie w duchu Oświecenia i Konstytucji 3 maja. Ale żaden z nich nie zwrócił na to uwagi, że nietylko wykształcenie i inteligencja zaważyć muszą na szali bytu narodowego—lecz również rozwój talentu. Wyspiański czyni z tego jeden z zasadniczych kanonów w dążeniu do pełnego wyzwolenia. Talent trzeba uczynić inteligencją — powiada — talent nie odstępuje nigdy od niezawisłości. A rozwijać go — jak z myśli Męża wynika — znaczy mnożyć bogactwo i siłę narodu. Talent jest tym kapitałem, z którym dopiero można rozpocząć budowę przyszłości, bo dzięki niemu człowiek staje się niezawisłym. Tymczasem obecnie człowiek jest przygniatany przez „szczyty", liczy się z niemi, przestaje być samodzielny. „Szczyty" te są dlań wyrocznią, alfę i omegę, poza które wyjść nie umie i nie może. Więc: „szczyty dla mnie nie istnieją", „to widzisz jest kłamstwo i obłuda. Te szczyty".

Już w „Kazimierzu Wielkim" uderzył poeta młotem swej poezji w serce tych szczytów a potem rozprawi się z niemi raz jeszcze w „Wyzwoleniu". „Mąż" jest sprecyzowaniem myśli zawartej w ropsodzie a zapowiedzią słów Konrada: „Terminowałem długo u wielu przemożnych potęg, które władały myślą moją — i teraz czas mi wyzwolić się. Pokruszyć tę potęgi", zapowiedzią zabicia w sobie tego „ja", które jest, aby nierodziło się nowe, wyzwolone. Jak Mickiewicz-Konrad musiał wyzwolić się z dawnego „ja", by służyć narodowi — tak Wyspiański-Konrad żąda wyzwolenia z pod tego czaru romantycznego, co mu duszę pętał, by działał wiednie, spełnił przeznaczenie swoje i narodu. Ale w tem nieuznawaniu szczytów, nazwanem „wielką zdobyczą", jest nietzscheańska niechęć do bożyszcz, które, skruszone dopiero, pozwolą na rozwój wolny jednostki i społeczeństwa. Wyspiański upaja się myślą tą. Plan przyszłości przedstawia się mu teraz jasno. Nie będzie z tych „wychowawców narodu", którzy trują myśl i duszę, pętają ją w niemocy. Człowiek, posiadający „kapitał inteligencji i talentu" nie może dać się powodować „szczytom", bo zabiłyby jego niezawisłość myślową.

Jednakże nie wszyscy zdoli są wyrwać się z pod tej przewagi innych — i nie od wszystkich wymaga tego Wyspiański. Tylko ta najwyższa warstwa, tylko szczyt „draliny Jakóbowej", bo on jest twórcą i kształcicielem myśli narodu.

Ale z chwilą, gdy poeta doszedł do tego punktu w rozważaniach — odezwał się w nim nagle romantyzm. Zapomina o najwyższej kaście ludzi, posiadających „kapitał inteligencji i talentu", zapomina, co mówił o „szczytach" i rolę decydującą przyznaje i wyznacza jednostce, jakiemuś nowemu Konradowi czy Królowi-Duchowi i w jego ręce „człowieka, co talent posiada... zbogaconego inteligencją, przy ciągłym talentu rozwoju" składa „prawo kierowania losem i opinją i czynami".

Może nigdzie indziej nie występuje tak wyraźnie, jak w tym dramatycznym fragmencie, istota walki Wyspiańskiego o wyzwolenie. Tu właśnie okazuje się, że patrzył on na naród przez pryzmat swej duszy i to, co w sobie dostrzegał, transponował na naród. A widział w sobie duszę romantyka, widział i czuł w sobie ukochanie czaru romantycznego, wpływ poezji romantycznej a specjalnie masjanizmu we własnym poglądzie na świat. One oczarowały uczucie jego, gdy myśl przeciw nim buntowała się. Więc chcąc wyzwolić naród z pod ich przewagi, pragnął przedewszystkiem własnego wyzwolenia. Tego, czego żąda od narodu, żąda przedewszystkiem od siebie: wyrobienia moralnego, rozwijania talentu. Wyczuwał zapewne niedoskonałość w swych utworach, wyczuwał wyższe wartości artystyczne, po które pragnął sięgnąć. Z chwilą gdy program społeczny odkrył, gdy uświadomił sobie jawnie, że głównym wrogiem jego, Wyspiańskiego rozwoju są „szczyty", które niedługo wcielą się w Genjusza —wyłania się z duszy jego romantyk, żądny władzy naw duszami innemi, romantyk, który w sobie widzi moc twórczą nie tylko w sztuce ale i w organizowaniu bytu narodowego i po władzę tę sięga tak samo, jak sięgnął po nią Konrad mickiewiczowski czy Król-Duch Słowackiego. Czyli ustaliwszy, że zasadą wyzwolenia narodu jest obalenie szczytów, w miejsce dawnych wznosi szczyt nowy, własny. Poza takie stanowisko Wyspiański nigdy już nie wyjdzie. W „Wyzwoleniu" ujmie je w sposób podobny do Mickiewiczowskiego z lat kursów słowiańskich, gdy profesor głosił, że ludzkość oczekuje światła nowego, które przyniesie jeden człowiek. Do Maski 10 mówi Konrad: „Ognia czekają. Ognia!" „A tak, Prometeusza. Nie człowieka czekają, ani tego, który ogień poniesie, ale ognia, żaru!" A Masce 18 powiada: „Co jakie parę staj lat,... co wiek co... zjawia się człowiek, który nie może znieść tego, co jest" — i wyjaśnia: „Niewoli narodowości" — a potem dodaje: „Co jakiś czas zsyła Bóg człowieka jasnowidzącego". W tych słowach rysuje się oczywiście romantyzm psychiki Wyspiańskiego — ale romantyzm jakże zmodyfikowany! Tylko jednostka wielka, przez Boga zesłana spełnić może przeznaczenie narodu — wierzy poeta, jak wierzyła epoka romantyczna — jakiś Mesjasz, zbawca i odkupiciel. Ale, gdy romantyczny filozof czy poeta, upatrując w sobie władzę posłannika bożego, chciał objąć nią nietylko teraźniejsze, lecz i przyszłe pokolenia, gdy prawdę swą uważał za prawdę wieczną, za prawdę, która po wszystkie czasy mieć musi moc obowiązującą — Wyspiański misję zbawczą wyznacza Konradowi swemu na „parę lat". Kiedyś przyjdzie nowy Konrad, który stoczy podobną walkę z Konradem „Wyzwolenia" jaką ten stoczył z Genjuszem. W tem ujęciu misji ujawnia się krytycyzm poety, jego lęk, by władzą swą i teorją nie zatruwał życia przyszłych swych pokoleń, nie był im szczytem, poza który nikt wyjrzeć nie może, żeby nie schodzono do grobów (jak to, zdaniem jego, czyni się obecnie) dla czerpania sił do nowego życia. Czyli: Konrad Wyspiańskiego pragnie swą „siłą fatalną" przetwarzać tylko w teraźniejszości zjadaczy chleba — a wyrzeka się tej siły na przyszłość.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

[10]) Małecki „Juljusz Słowacki" Lwów 1867 tom II. str. 208.

LIBERUM VETO

Niemoralność rewolucji w państwach o wysokiej kulturze. — Strajk w Anglji. — Strajk jako popis siły. — Jego tyranja.—Okiełznanie. - Chroniczna rewolucja w Polsce.— Bierność masy społecznej.—Warunki przyjazne dla zwycięstwa samozwańców. — Co nas czeka. — Jedyny środek.

REWOLUCJA w dawnej swojej postaci — jako burzenie ustroju politycznego, druzgotanie władz rządowych, jako rzeź i rabunek—jest już dziś w żadnem państwie o wysokiej kulturze niemożliwa. Wyrzucanie tego wyrazu z ust furjackich, pijanych i brudnych ma sens i cel tylko w społeczeństwach o nizkich stopniach rozwoju, ciemnych i niedojrzałych. Jak robactwo nie lęgnie się w czystości i potrzebuje brudu, tak samo pierwiastki rozkładowe i niszczące wymagają podłoża barbarzyństwa. Ani we Włoszech, ani we Francji, Anglji, Szwajcarji, Belgji, Holandji, Danji, Szwecji, w Niemczech rewolucja walcząca mordem, grabieżą i rozstrojem nie wybuchnie, a jeżeli ukażą się tam niekiedy częściowe pozory z podpalenia agitacyjnego, to one wkrótce bywają ugaszone. Ażeby tak doszczętnie spłonął stary gmach państwowy, jak to się działo w Rosji i ażeby na jego dymiących zgliszczach i gruntach ludzie zbudowali sobie tymczasowe nędzne szałasy, to jest z życia narodów ucywilizowanych na zawsze wykluczone. Mordercy i burzyciele, którzy wierzą w możliwość takiego zniszczenia, o ile nie są złoczyńcami i degenaratami, którzy wyławiają swoje korzyści z każdego zamętu, lub ulegają pobudkom zwyrodnienia, podobni są do drapieżców żyjących w puszczy, którym zdaje się, że gdyby lisy, tygrysy, hyjeny i lamparty połamały kraty żelazne, wydostały się z kratek ogrodów zoologicznych, podusiły ludzi i zwierzęta domowe, spełniałyby daleko lepiej ich zadania i prace. Taką puszczą była obecna Rosja a drapieżcami bolszewicy, którzy uważają świat kultury za dżungle już nieco przetrzebione, ale jeszcze dość gęste dla zapewnienia im kryjówek i żeru. Europa ma przed sobą dwa niezmiernie pouczające doświadczenia: rząd sowietów i strajk powszechny w Anglji. Z pierwszego już wyciągnęła wnioski, teraz powinna wyprowadzić naukę z drugiego. Niewątpliwie, strajk jest nietylko skutecznym, ale jedynym środkiem pohamowania chciwości kapitalistów, wyzyskujących pracę robotników, i jedyną bronią zwycięską w nierównej walce. Ale on szybko rozszerzył swoją podstawę, pomnożył swoje cele, aż stał się orężem nadużywanym i dla społeczeństw niszczącym. Nie sprowadza ich śmierci, ale nieprzerwaną chorobę, która je wycieńcza nawet w tych warstwach, które nim się posługują; stał się bowiem dla nich rodzajem japońskiego harakiri—rozpruwaniem własnego brzucha dla pomszczenia się na krzywdzicielu. Rozhuśtane przez agitatorów w swych żądaniach i pretensjach masy robotnicze urządzają strajk w potrzebie i bez potrzeby, przy jakiemkolwiek starciu ze swą zwierzchnością, często tylko dla okazania swej solidarności z odległymi towarzyszami a nadewszystko dla okazania swej siły. Jest to rozkosznem nasyceniem ambicji umysłów, poruszonych głównie sprężynami korzyści materjalnej, gdy one mogą każdej chwili zatamować w części lub w całości bieg życia społecznego, gdy mogą tego dokonać nie tylko dla pomnożenia swych zdobyczy, ale z kaprysu i chęci popisania się swą mocą. Ich przewodnicy dla utrzymania swego wpływu i znaczenia podniecają w nich te żądze i ambicje, narkotyzując je frazeologją jątrzącą. Wojna, która rozkiełznała wszystkie namiętności i nizkie instynkty, spotęgowała i rozzuchwaliła demagogję w tej sferze aż do szału i zbrodni. Zwłaszcza w krajach o niższej kulturze rozpętała się orgja strajków często bezmyślnych, bezcelowych i bezskutecznych. Nie tylko rujnowały one społeczeństwa materjalnie, nie tylko utrzymywały w nich rozstrój, ale uprawniały wszelki gwałt i terror. Wyznawcy skostniałej, przeciwnej naturalnemu rozwojowi życia narodów, żydowsko-kosmopolitycznej ewangelji Marksa rozwinęli cały system tyranji dorównywającej swą nietolerancją i gwałtami najdzikszym despotyzmom. Europa owładnięta duchem radykalnej demokracji pobłażała tym nieprzerwanym zawichrzeniom lub zachowywała się względem nich obronnie. Jeden tylko w niej mąż stanu Mussolini wystąpił śmiało i urwał łeb tej hydrze. Socjaliści nienawidzą go ze szczególną zajadłością—i słusznie. On bowiem dowiód światu dwu niezmiernie ważnych prawd: naprzód, że oni są siłą złą i powtóre, że nie są niepokonaną. Nie ulega wątpliwości, że te dwie prawdy oddziałały bardzo mocna na orjentację rządów i społeczeństw europejskich a najwidoczniej na Anglję. Jednem z najgroźniejszych nadużyć socjalizmu jest strajk powszechny. Tu już nie chodzi o rozstrzygnięcie jakiegoś pojedyńczego sporu, o zmianę stosunków w jakiejś dziedzinie gospodarstwa, o usunięcie jakiejś krzywdy robotników, ale o „dyktaturę proletarjatu", o narzucenie jego woli i władzy wszystkim innym klasom społecznym, o jego prawo panowania nad niemi nieograniczonym despotyzmem. Taki strajk powszechny wybuchł w Anglji. Zrozumiała ona odrazu potrzebę stałego i mocnego zabezpieczenia się przeciwko gwałtowi, który naraził ją na olbrzymie straty a ponawiając się mógłby nietylko ją zubożyć materjalnie i zniszczyć kulturalnie, ale osłabić państwowo. Oprócz uruchomienia wszystkich czynników społecznych do pracy w zastępstwie zbuntowanych robotników, rząd angielski postanowił prawodawczo ograniczyć wolność strajków, a nadewszystko zakazać ich w instytucjach publicznych. Zrobił to za przykładem Mussoliniego, z czasem zrobić to muszą wszystkie państwa, jeżeli nie chcą zginąć i zamienić się na mieszaniny beznarodowe, na skrzyżowane stada, pasące się [redacted]

[redacted]

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

DMOWSKI O POŁOŻENIU

PRZYTOCZYLIŚMY wyżej opinję R. Dmowskiego o Poznańskiem w czasie wojny. W ostatniej chwili, otrzymujemy nr. 246 „Kurjera Poznańskiego", gdzie Dmowski podnosi wysoko postawę b. zaboru pruskiego w czasie wypadków warszawskich i stwierdza, że „pomimo całego oburzenia na to, co się stało w Warszawie, pomimo całej gotowości do walki o cywilizowane prawne podstawy bytu politycznego, nie zrobiłoby ono nic, coby naruszało jedność państwa lub zagrażało jego całości". Dmowski przestrzega gorliwców, aby poniechali dążeń separatystycznych i nie myśleli o niczem innem, jak tylko o dobru całej Polski.

Jest to właśnie ów głos człowieka „zachodniego", który całe życie poświęcił na wychowanie społeczeństwa, aby myślało nie o korzyściach osobistych i ambicjach, ale o Polsce.

Dmowski zapytuje: jaki cel miał przewrót?

„Dotychczas, z deklaracyj i artykułów w prasie, broniącej przewrotu, słyszymy, że celem jest umoralnienie naszego życia państwowego. Już ktoś z cudzoziemców zdziwił się bardzo, usłyszawszy takie określenie celu prowrotu. Rozumiem to zdziwienie. Nasze życie państwowe, i nietylko nasze, posiada ogromne braki moralne i trzeba je usuwać. Ale tego nie robią i nie są zdolne robić rewolucje polityczne. To może być tylko wynikiem głębokich zmian w społeczeństwie i w państwie. Jednym zaś z najważniejszych warunków naprawy moralnej życia państwowego jest podniesienie poziomu inteligencji politycznej społeczeństwa. Bo w polityce, zwłaszcza u nas, najwięcej nieuczciwości popełniają ludzie dlatego, że są za głupi, ażeby zrozumieć, co jest uczciwe, a co nieuczciwe.

Hasłami, choćby były rzucane najszczerzej, nie umoralni się życia państwowego. Trzeba pokazać, co się zamierza i co się jest zdolnym zrobić, ażeby postęp moralny naprawdę się rozpoczął. Póki się tego nie zrobi, całe hasło umoralnienia jest pustym frazesem, zwłaszcza jeżeli towarzyszy mu powódź kłamstw, które są przecie nieuczciwością.

Jak dotychczas, to jeden tylko cel przewrotu warszawskiego jest jasny —mianowicie, ażeby wojsko w Polsce, które przez ostatnich lat parę usiłowano zrobić wojskiem państwa polskiego, stało się wojskiem jednego człowieka, ażeby on wespół ze swymi zorganizowanymi przyjaciółmi trzymał je całe w ręku. Ten zaś, kto ma wojsko w ręku, ma władzę dyktatorską w państwie, bez względu na to, czy się ogłosi dyktatorem czy nie, czy on lub kto inny będzie formalnym szefem państwa, lub czy będzie, czy nie będzie stał formalnie na czele rządu.

Jeżeli zaś tak jest, to przewrót sprowadza tylko z jednej strony zniszczenie dotychczasowej pracy nad uzdrowieniem gospodarczem i finansowem państwa, co w naszem położeniu jest najważniejszem, z drugiej zaś — dezorganizuje, rozbija samo wojsko. Bo w wojsku państwa polskiego wszyscy, bez względu na swe sympatje i antypatje, mogą się połączyć w służeniu państwu, ale w wojsku, które ma służyć jednemu człowiekowi i jego spiskowi, muszą powstać inne spiski, które mu się przeciwstawią."

Przy sposobności dodajemy, że Dmowski od miesiąca bawił zagranicą, we Włoszech i w Paryżu. Wrócił do kraju w czasie wypadków warszawskich, które zatrzymały go w Poznaniu. Wielką jego zasługą jest, że wpłynął na uspokojenie umysłów, że zapobiegł wojnie domowej i zamętowi.

IDEALIŚCI

KTO się lubi zastanawiać, teraz ma dobrą okazję. Dzienniki żydowskie przepełnione są radosnemi okrzykami, że 12 maja stał się erą odrodzenia moralnego Polski. Najmniej—prawda?—spodziewaliśmy propagandy moralności z tej strony. Najgłośniej cieszą się z tego odrodzenia Żydzi w „N. Kurjerze Polskim". Według Wassercuga bicz Boży Piłsudskiego smaga „wielką zgraję łotrów"; według Cezarego Jellenty (Hirszbanda) jest to chwila, kiedy naród zrzuca „jarzmo troglodytów". „Hajnt" nazywa tego smoka, którym jest obóz narodowy zwalczony przez rycerza — „mafją". „I oto tę mafję Piłsudski odsunął od władzy". „Ogłuszył jednym zamachem prawicę, tę najciemniejszą reakcję u nas(?), która więcej nienawidzi Żydów niż kocha Polskę". Nastaje era uczciwości. A co to jest uczciwość według Żydów? „Hajnt" odpowiada: „Uczciwość to nie tylko etyczne pojęcie, posiada ona znaczenie ekonomiczne: nie będą kraść, a my mamy 50 procent oszczędności". Uczciwość nastanie wtedy, gdy Żydzi będą mieli 100 proc. oszczędności. „Nasz Przegląd" skrzętnie podkreśla, że kandydat prawicy na prezydenta, kandydat „szuj i kanalji" nie będzie uznany przez Piłsudskiego, a p. Grosztern w „N. Kur. Pol." tak się zaplątał w nieznanej sobie dziedzinie, że tłumaczy nieprzyjęcie władzy zwierzchniej przez Piłsudskiego tem, iż „chce być w zgodzie ze swoim programem ustalenia sprawiedliwości i prawości w państwie w imię którego rozpoczął akcję 12 maja".

Naogół ten kwik idealistyczny przy zdobywaniu koryta państwowego, podnoszony przez żydków, napełnia przerażeniem o losy państwa. Że ideały odrodzenia moralnego są w ich ustach kłamstwem, to wiadomo; bardzo smutna musi być prawda, którą się tak hałaśliwie zagłusza.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Ucieczka przed odpowiedzialnością. — Wybór marsz. Piłsudskiego — Rezygnacja i jej motywy — Prof. Ignacy Mościcki — „Demonstracja“ P. P. S.

NAJSZKODLIWSZĄ i najwstrętniejszą jednocześnie cechą obyczaju politycznego, jaki się u nas wytworzył, jest powszechna ucieczka przed odpowiedzialnością, lęk przed prostem, otwartem postawieniem sprawy i odważnem przyjęciem na siebie konsekwencyj popełnionych czynów. Ten strach przed odpowiedzialnością, prowadzący do nieustannego zapierania się własnych poglądów i własnych postępków, jest może najgłówniejszą przyczyną kłamstwa, które tak szeroko w całem naszem życiu publicznem się rozpleniło. Wydarzenia ostatnich dni i tygodni szczególnie wiele dostarczyły pod tym względem dowodów. Wszak wszystko zaczęło się od tego, że zamiast przyznać szczerze, iż zamach stanu oddawna był planowany i przygotowywany, wolano posłużyć się opowieścią o rzekomem ostrzeliwaniu Sulejówka, o tajemniczych rzezimieszkach, snujących się jakoby dokoła willi marsz. Piłsudskiego i wywołanym tem nagłym, żywiołowym odruchu wojsk, zgromadzonych w Rembertowie. Strach pomyśleć doprawdy, coby się było stało, gdyby te „ciemne indywidua“ nie zechciały willi marsz. Piłsudskiego ostrzeliwać: nie mielibyśmy wówczas ani „przewrotu moralnego“, ani „rządu uczciwych ludzi“, ani „zasadniczych reform“, a nieszczęsna Rzeczpospolita staczałaby się bez przeszkód w otchłań ostatecznego upadku...

Ta obawa przed przyjęciem odpowiedzialności całkiem wyraźnie już okazała się nazajutrz po zdobyciu Belwederu, gdy marsz. Piłsudski nie zdecydował się stanąć na czele rządu, a stanowisko prezesa Rady Ministrów powierzył posłowi, b. ministrowi kolei w pierwszym gabinecie Witosa, p. Bartlowi. Jakże inaczej postąpił np. Mussolini, który z chwilą przewrotu natychmiast objął równocześnie trzy teki: premjera, ministra spraw zagranicznych i ministra spraw wewnętrznych.

Ale najbardziej pouczającem widowiskiem ucieczki przed odpowiedzialnością stały się wybory Prezydenta Rzplitej. Gdy stronnictwa lewicy na stanowisko to wysunęły kandydaturę Józefa Piłsudskiego, dwa stronnictwa, należące do dawnej większości rządowej, P. S. L. „Piast“ i Narodowa Partja Robotnicza, nie miały odwagi wziąć na siebie odpowiedzialności przeciwstawienia się tej kandydaturze. Przeciw kandydaturze Piłsudskiego opowiedziały się tylko trzy stronnictwa: Związek Ludowo-Narodowy, klub Chrześć.-Narodowy i Chrześcijańska Demokracja, które ze swej strony oddały głosy na wzorowego wyraziciela ducha praworządności, zasłużonego wojewodę poznańskiego Alfreda Bnińskiego. Dnia 31 z. m. Prezydentem Rzplitej obrany został marszałek Piłsudski, który otrzymał 291 głosów, podczas gdy na wojewodę Bnińskiego padło głosów 193.

Tu wszakże nastąpił fakt osobliwy: marszałek Piłsudski uchylił się od odpowiedzialności stanięcia na czele Państwa i przyjęcia wyboru odmówił. Motywy tego postanowienia, sformułowane w liście do marszałka sejmu Rataja, są przynajmniej równie nieoczekiwane, jak decyzja. Jako pierwszy, a więc chyba główny powód rezygnacji, ogłasza marsz. Piłsudski następujące wyznanie: „nie mogłem wydobyć z siebie aktu zaufania i do siebie w tej pracy, kórą już raz czyniłem, ani też do tych, co mnie na ten urząd powołują“. Dziwnie ta spowiedź brzmi w ustach wodza triumfującego zamachu. Ale jeszcze mniej zrozumiałe jest wyznanie następne: „Zbyt silnie w pamięci stoi mi tragiczna postać zamordowanego prezydenta Narutowicza, którego nie zdołałem od okrutnego losu uchronić, zbyt silnie działa na mnie brutalna napaść (?!) na moje dzieci“. To wyraźne wysunięcie motywów osobisto-familijnych, wyraźne przyznanie, że wzgląd na bezpieczeństwo osobiste może być powodem uchylenia się od odpowiedzialności za losy Państwa, jest jaskrawym przykładem pojmowania moralnego stosunku do Państwa ze strony wodza „moralnego przewrotu“. A wreszcie trzeci motyw: zbyt szczupłe uprawnienia konstytucyjne Prezydenta, motyw niejasny i nieszczery, skoro udzielenie Prezydentowi Rzplitej prawa rozwiązywania Sejmu i Senatu, jedyne rozszerzenie władzy Prezydenta, jakiego w sposób konkretny domaga się rząd pp. Bartla i Piłsudskiego, miało w Izbach Prawodawczych zapewnioną większość już na kilka tygodni przed zamachem.

Ale wszelkie próby usuwania się w cień, w zacisze pracy „wyłącznie wojskowej“, nie zdołają zatrzeć jasnego obrazu rzeczywistości. Słusznie pisał Roman Dmowski w „Kurjerze Poznańskim“ (nr. 246): „Ten, kto ma wojsko w ręku, ma władzę dyktatorską w państwie, bez względu na to, czy się ogłosi dyktatorem czy nie, czy on lub kto inny będzie formalnym szefem państwa, lub czy będzie, czy nie będzie stał formalnie na czele rządu“.

Nie przyjmując wyboru na Prezydenta Rzplitej marsz. Piłsudski „zalęcił“ na to stanowisko kandydaturę inż. Ignacego Mościckiego, profesora elektrochemji i kierownika Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie. Nazajutrz inż. Mościcki wybrany został na Prezydenta głosami tych samych stronnictw, które dnia poprzedniego opowiedziały się za kandydaturą marsz. Piłsudskiego. Ale przy tej okazji można było zanotować jeszcze jedną próbę ucieczki przed odpowiedzialnością, tym razem ze strony P. P. S. Nie oświadczając się od razu za kandydatem „zaleconym“, P. P. S. wystawiła „własną“ demonstracyjną kandydaturę pos. Marka, i dopiero w drugiem głosowaniu przerzuciła swe głosy na rzecz inż. Mościckiego. Jakgdyby tego rodzaju demonstracja mogła w czemkolwiek osłabić odpowiedzialność P. P. S., która od pierwszej chwili wzięła czynny udział w zamachu i wszystkie jego konsekwencje musi dziś — czy chce, czy nie chce — zapisać na swój także rachunek.

Mimo wszystko jednak, mimo wszelkich prób gmatwania i mącenia, świadomość jasno określonej odpowiedzialności powoli zaczyna się w społeczeństwie ustalać. I to może będzie początkiem istotnego odrodzenia moralnego i odrodzenia politycznego Rzeczypospolitej.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

„WITA“ TADEUSZA MICIŃSKIEGO

ZAMORDOWANY w r. 1918 w Mohylowszczyźnie przez chłopów białoruskich („Starych Własów“), ś. p. Tadeusz Miciński, napisał powieść „Wita“ jeszcze przed wojną w r. 1913, „jeżdżąc po Ukrainie“*).

Poeta przywiązał wielką wagę do tego utworu. We wstępie doń, pisanym przed opuszczeniem Warszawy w roku 1915, Miciński stwierdzał: „Wita jest moim *Il principe*. Jeśli i ona nie stanie się kamieniem probierczym dla dusz w Polsce, zacznę podejrzewać, iż nie autor jest zbyt ciemny, lecz nasi czytelnicy mają nie stal w swem sercu, ale jakąś kądziel“.

Słowa te Micińskiego, a również cała powieść i stosunek do niej autora, są świadectwem tragicznego nieporozumienia pomiedzy poetą a społeczeństwem polskiem. I zu-

---

*) W. Czarski i S-ka Warszawa, 1926; str. 418.

pełnie nie o „niejasność" tu chodzi. Odwrotnie, trzeba to stwierdzić, iż „Wita" jest nawskroś jasna, tak się przynajmniej nam wydaje. Nieporozumienie zato tkwi w postawie autora wobec świata. Tragiczny zgon ś. p. Micińskiego jest fatalnem zaprzeczeniem jego słowiańsko-mistyczno-romantycznej ideologji. Miciński był okazem jaźni, niestety, nierzadkiej u nas w Polsce, zabłąkanej w swej współczesności. „To, co ma być, jeszcze nie powstało; to co było zamierzchło, to, co jest — liche i zbrukane, jak waląca się karczma na rozstaju". („Do źródeł duszy polskiej").

Zdawałoby się, iż jedynym punktem oparcia dla duszy tak pojmującej rzeczywistość, — jest liryzm. Gdyby Miciński chciał i mógł to pojąć, zachowałby jako liryk poczestne miejsce w naszej literaturze. Ale on pojął swoje posłannictwo zgoła inaczej, i stanął w ostrem przeciwieństwie do swojej współczesności, jako wieszcz, prorok, mag i nauczyciel.

„Niełtota", „X. Faust" i obecna „Wita" są tego wyrazem. Utwory te są pełne symbolów, których istoty czasem niepodobna odcyfrować. W „Wicie" są one wyraźniejsze zresztą niż gdzieindziej. Rzecz się dzieje w r. 1787, podczas zjazdu Króla Stanisława z Katarzyną. Terenem akcji jest Kaniów, Kijów, oraz ich okolice.

Naczelna postać utworu, Wita, to niby polska Joanna d'Arc, i zgodnie z imieniem oznacza „Wiosenną Polskę, Życie Nowe". Walczą o nią X. Józef, nazwany „Rycerzem Światła", — i d'Arżanow (dziwaczne połączenie francuskiego *de* z nazwiskiem rosyjskiem!). Ten symbolizuje jakiegoś Króla—Ducha Rosji, jest sobowtórem Piotra Wielkiego, a zarazem to „groźny, buntowniczy duch Otchłani, ten, którego imię jest Niedokonany, Kusiciel — a niegdyś Lucyfer". Dalszym symbolem wreszcie jest piękna Kalina; to „ukraińska ziemia rodna". Kusi ona Polskę (X. Józefa) i ostrzega, iż „Kniaź Patiomkin głowę stracił, obiecuje kniahinią zrobić, Noworosijskij kraj dla niej zabuduje pałacami". A zaś po chwili grozi: „Tam są Rosjanie; gdy zachcę — w łonie mieć będę to, co pójdzie przeciwko wam".

Książka się kończy przejrzystym symbolem — ukrzyżowaniem Wity przez d'Arżanowa. Męce jej z oddali przyglądają się połączone dwory Stanisława i Katarzyny.

Jeśli jednak szablonowy szkielet powieści nie wywołuje zasadniczych nieporozumień, to ciało, pokrywające ten szkielet, właściwa jej treść, jest tak dziwnem skłębieniem wszelakich nieprawdopodobieństw i nieporzebraną kopalnią przeróżnych mniej lub więcej potrzebnych i niepotrzebnych szczegółów, iż oszołamia czytelnika zupełnie. Czegoż bo tu niema? Zda się encyklopedję otwiera przed nami autor, a razem jakąś księgę najbardziej fantastycznych baśni. Dwie części pierwsze, to jakgdyby prywatne życie, dwie drugie życie polityczne narodu. Dziwaczne są opisy żywota kilkorga pustelników i niespodzianej śród nich wizyty X. Józefa, X. Wirtemberskiego i biskupa Kossakowskiego. Lecz jeszcze dziwniejszy i nieprawdopodobniejszy jest idealny dwór szlachecki, w którym odbywa się nawskroś fantastyczna narada patrjotów nad naprawą Rplitej. Biorą w niej udział Staszic, X. Józef, Ignacy Potocki i in. Zjawia się też idealny Moskal, Kambiłow, prototyp niejako Tołstoja, oraz ów d'Arżanow, jako Wielki Kofta masonerji.

Najosobliwszą cechą stylu Micińskiego jest łączenie w jedno najbardziej wyuzdanej wyobraźni ze szczegółami nawkroś realistycznemi, czerpanymi obficie z encyklopedycznej erudycji, *notabene* nader często nieściśle (Np. biskup Siestrzencewicz nie był archijerejem, lecz katolickim metropolitą; Szczęsny Potocki ożenił się z Wittową dopiero w r. 1789, gdy tu ona występuje jako Potocka i pani Zofjówki; X. Marja Czartoryska zaś od 1784 była za X. Wirtemberskim, gdy w „Wicie" oni są dopiero zaręczeni, trudno do Kaniowa sprowadzać książki „z Francji, morzem od Rosji, a stamtąd Dźwiną, Prypecią i Dnieprem" i t. d.)

Już lepiej Micińskiemu się udają opisy, mające podłoże dziejowe, zwłaszcza są dobre niektóre sylwetki osób historycznych, np. Seweryna Rzewuskiego, Patiomkina, króla, wreszcie Katarzyny. (Chociaż trudno nam się zgodzić z takiem np. *intermezzo*: „Monarchini, znużona kłamstwem i blichtrem otoczenia — zapragnęła obcowania dusz", tedy śpieszy „pomówić" z Witą „o sprawach Polski i Rosji, ducha i ewolucji", — a także dziwnie nas razi cała perora Wity do Cesarzowej.)

Barokowy styl powieści dopełnia jej całości, Np.: „miga czerwoną miedzą wszelka rondlowość"; „obracane rożny, udekorowane przeżyciami niedawnych fruwaków". „X. Włastowicz mówić nie będzie mógł. Przebywał długo w Spielbergu, i zresztą — ma obcięty język" i t. d.

Jeszcze jedno. Autor we wstępie mówi: „Bardzo kochajac Witę, chciałbym, aby ta kobieta (żywa dla mnie) mogła odrodzić deprawujący się typ dziewicy polskiej. Tymczasem, pomijając rysy ogólne symbolu o Wicie tak mówi pewna pani: „Pani jest dobra, mądra, jeździ konno i myśli o dźwignięciu Ojczyzny — czy zgadłam?". Zaś ona sama o sobie (po omówieniu sceny Zwiastowania N. M. Panny): „I ja chcę mieć swe dziecko z myśli najgłębszej skrzydlatej poczętę. Jeśli nie będę mogła mieć tak, nie będę miała nigdy".

I tak wciąż bróździ owo łączenie realizmu z najwznioślejszym idealizmem.

STANISŁAW CYWIŃSKI

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W poprzednim zeszycie podaliśmy parę faktów, świadczących o zainteresowaniu twórczością Kasprowicza we Włoszech. Obecnie dowiadujemy się, że miesięcznik „*L'Europa Orientale*", wydawany przez instytut tejże nazwy zamierza, korzystając z inicjatywy prof. Romana Pollaka, poświęcić jeden z najbliższych zeszytów Kasprowiczowi. W zeszycie znalazłby się przekład hymnu „Święty Boże" dokonany przez młodego poetę Damianiego, prof. Pavolini dałby w swoim przekładzie parę utworów z „Księgi ubogich". Pozatem szereg artykułów.

*

Redakcja „Gazety Literackiej" w Krakowie wniosła skargę przeciw p. Klaudjuszowi Hrabykowi o obrazę czci; red. Hrabyk w jednym z feljetonów w „Gońcu Śląskim" poddał radykalnej ale zasłużonej krytyce bardzo podejrzane tendencje „Gazety Literackiej", piętnując je jako zgniliznę pacyfistyczną, wysługującą się świadomie czy bezwiednie propagandzie niemieckiej; pozatem autor poddał ocenie wartość intelektualną i moralną tej części młodego dałby pokolenia, którego wyrazem jest „Gazeta Literacka". Probędzie się w lecie w Katowicach.

TEATR

WITKIEWICZ — IBSEN

JEDNEGO wieczoru (28 b. m.) mieliśmy w Warszawie dwie premjery: w teatrze Narodowym wystawiono H. Ibsena „Wroga ludu", w teatrze zaś Małym (Szyfmana) dwa utwory Stanisława Ignacego Witkiewicza: „Warjat i zakonnica" oraz „Nowe wyzwolenie". Były to dwa bieguny sztuki dramatycznej, dwie różne jej epoki. Stary utwór Ibsena, niegdyś model twórczości, kraniec trzeźwości artystycznej i realizmu, tak niefortunnie zbiegł się w oczach sprawozdawcy z dziełem Witkiewicza, który się popisuje szaleństwem pogardy dla wszystkiego, co było w sztuce logiką, że obie produkcje wydały się w tem zestawieniu karykaturalne.

Ibsen jest kaligraf, a Witkiewicz robi „żydy", które rozpłaszcza papierem: co też z tego wyjdzie? Albo leje wosk na wodę i patrzy pod światło, a palcem dopomoże. Ma — pazur! — mówią krytycy. Ibsen ścisły, pedant nad każdem „i" stawia kropkę; Witkiewicz da raczej kropkę,

niż literę postawi. Ibsen by umarł, gdyby go kto nie zrozumiał, ten — dla tego się dobrze miewa, że go nie rozumieją. Witkiewicz bezwątpienia ma talent, ale jeszcze więcej ma szczęścia, że urodził się w czasach kabaretu i wywrotu, które sprzyjają bezczelności i próżniactwu artystycznemu. Dla Polaka, który ma talent, w to graj.

Nie wychodzi na tem dobrze moralność sztuki. Autor obcuje z publicznością na prawach arlekinady, sprzedając na zabawę to, co miało być (przypuszczalnie) jej celem poważnym. Przedstawieniu dramatu towarzyszy stale atmosfera humorystyczna. Jeżeli to mimowolne ze strony autora — to źle, bo świadczy niedobrze o wartości użytych środków, a jeśli rad jest z powodzenia tak osiągniętego — to jeszcze gorzej: niezdrowo.

Ten rodzaj sztuki nie zrodziłby się w czasach Ibsena. Jest współobjawem sadyzmu powojennego. Warszawianki teraz przeszkadzały żołnierzom porządnie strzelać na ulicy bo się kręciły koło kulomiotów, błyskając pończoszkami. Bawiły się tak, jak na scenach Witkiewicza, gdzie „wielki" poeta wbija w skroń lekarzowi ołówek, kładąc go trupem i ma tylko jeden kłopot, że mu się ołówek załamał, a nie ma scyzoryka, tymczasem musi skończyć przerwany wierszyk. Krytycy rozpadają się nad śmiałością pomysłów, nie zdając sobie sprawy, że jest to szkoła rozbestwiania publiczności bynajmniej nie w interesie kultury artystycznej.

Jest to sposób patrzenia na świat nie tyle poetycki, ile kokainiczny.

Widziałem kiedyś futurystycznie narysowany samochód w ruchu: była to plansza zapełniona rozrzuconemi kawałkami wozu. Być może, gdyby patrzącemu udało się wprawić głowę w nagły ruch rotacyjny, że te elementy zlałyby się w oku w widmo samochodu. Ale w teatrze sprawa przedstawia się nie tak prosto, bo wykracza poza zjawisko optyczne — trzeba coś zrozumieć.

„Nowe wyzwolenie" wygląda tak, jakby Witkiewicz rozłożył psychikę „burżuazyjną" na elementy personifikowane. A więc wnętrze jakiegoś domu, gdzie pokutują jakieś tradycje rycerstwa (Ryszard III), jakaś poza pracy przykładnej (matrona szyjąca na kanapie), jakieś anielstwo dziewiczości (panienka z klasztoru z kokardą na głowie), jakieś szarmanctwo wizytowe (dyrektor fabryki, tenisista), jakiś pierwiastek ludowy (kocmołuch z kuchni), jakiś rytm wzorowy dnia (podwieczorek o piątej). A wszystko to razem łajdactwo, fałsz, rajfurstwo, rozpusta. I słusznie kocmołuch z kuchni wpuszcza na to pogrom bandytów, którzy burżuja biorą na tortury.

Powtarza się to, co tyle razy trzeba tłumaczyć, że sztuka jest współobjawem życia. Autor nie da w sztuce nic takiego, czegoby nie przeżył i nie chciał narzucić publiczności, jako punkt widzenia jedynie dobry. Rodzicem chrzestnym przewrotu w sztuce jest ten, kto pragnie dokonać przewrotu w życiu.

Ibsen we „Wrogu ludu" też jest reformatorem społecznym, ale w odwrotnym kierunku. Jego protestancki racjonalizm zżyma się na brak logiki w życiu, które uzależnia ludzi rozumnych od głupiego tłumu, kierowanego przez sprytnych. *Odi profanum vulgus* — daje mu rangę poetycką arystokraty ducha zachodniej cywilizacji; Witkiewicz ma orjentacje wschodnią i nie zostawiłby kamienia na kamieniu z tej cywilizacji. Interesuje go problem „odrodzenia moralnego" przez siły nieświadome od dołu, interesuje go dziecinne pytanie: co też z tego wyjdzie? Leje wosk na wodę, palcem pomaga. Ma pazur!

Ludzie się bawią nie tyle woskiem, ile nim samym. Krytycy zaś ścigają się w zachwytach, aby ich nie posądzono, że są w smaku opóźnieni. Duch ulicy, gdzie genjusze typu Witkiewicza tworzą nowe formy życia również przez lanie wosku na wodę.

Z. W.

[redacted]

*

Mąż zaufania i najbliższy współpracownik marsz. Piłsudskiego, redaktor „Głosu Prawdy" p. Wojciech Stpiczyński, taką w piśmie swem (Nr. 144) zamieszcza uwagę:... prawdopodobne jest, iż (stronnictwa prawicy) dopiero w poniedziałek wysuną jakąś swoją kandydaturę na p o ś p i e s z n i e i d o b r o w o l n i e opuszczony przez p. Wojciechowskiego Belweder".... D o b r o w o l n i e!! Takie jedno słówko w jaskrawszem świetle okazuje rzeczywisty poziom etyczny twórców „przewrotu moralnego" niż wszelkie wywody i dowody...

*

W prasie żydowskiej i lewicowej pojawiają się artykuły i notatki p. t. „E c h a strzałów w Sulejówku". Osobliwe to strzały! W samym Sulejówku nikt ich wogóle nie słyszy, ale e c h a ich rozlegają się w całej prasie lewicowej tak długo, tak rozgłośnie...

*

Żargonowy „Moment" (Nr. 113) oświadcza: „Ż y d z i s ą z a d o w o l e n i" z rezygnacji prezydenta Wojciechowskiego i dymisji rządu Witosa..." Tenże sam „Moment" (Nr. 118) informuje: „Przedewszystkiem istnieje tendencja obecnego rządu aby zaspokoić, o ile to możliwe, gospodarcze żądania mniejszości. Skłaniają się też między innemi do p o m y ś l n e g o z a ł a t w i e n i a o d p o c z y n k u n i e d z i e l n e g o".

Coraz wyraźniej zaczyna zarysowywać się odpowiedź na pytanie, w j a k i m c e l u dokonany był w Polsce „przewrót moralny"...

TREŚĆ: Wschód i Zachód *Z. Wasilewskiego.*—Proces całkowania etnicznego Polski *Wł. Wakara.*—U wrót „Wyzwolenia" *St. Kolbuszewskiego.*—Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: R. Dmowski o położeniu; Idealiści *(x).*—Przegląd polityczny *Ign.* — Nauka i literatura. — Teatr *Z. W.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI   Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.   PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM